

Raport z niepoczciwy

Gdyby życie kulturalne stolicy kraju mierzyć programami kin, radia i telewizji, można by łatwo dojść do wniosku, że oto nastal czas wielkiego rewanżu. Wyciąga się bowiem omśałe staroście, ekshumuje rozmaite dzieła nastalną pachnące.

W tej szczególnej chwili „kulturalnej czkawki” teatr „Ateneum” wystąpił z premierą „Białych nocy” Dostojewskiego. Premierowy spektakl odbył się na eksperymentalnej „Scenie 51”, jedynej w stolicy bezbłędnie, bo naturalnie klimatyzowanej sali widowiskowej (w „Kongresowej” też świeża, ale za silne przeciągi), w trzaskający mróz.

Jedna pani w półkożuszkę zauważyła do pana w pilocie: „Zdołnych mamy teraz literatów, szkoda gadać — Jarecki, Abramów, Dostojewski... Tylko po co takie rzeczy między publicznością robić?”.

Patrząc na szamotania pary Kępińska — Kowalski w bezpośrednim sąsiedztwie krzesel dla publiczności, w ciasnym kręgu widzów w każdej chwili zaglądających aktorom w daturki od nosa, myśli się: mordercza próba talentów, nie wszyscy luminarze sceny wyszliby z niej zwycięsko.

Dygresyjka: świetny jest program do „Białych nocy”, dzieło anonimowego autora. Czyżby w naszych teatrach wygasal humanitarnej obyczajnej zlecenia takich rzeczy kurzym organizatorów widowni i zięciom suflerek?...

W przeciwieństwie do tego i owego teatru, w muzealnictwie naszym obowiązuje powszechnie starzyzna: gabloty, szafy, tablice, szacowny kurz i konieczność stęwania od progu.

No cóż, jeżeli ma się Monę Lisę czy Venus z Milo, można ignorować wymogi epoki kina i telewizji — jeżeli jednak chce się „sprzedać” treść cokolwiek mniej atrakcyjną i sławną, trzeba pomysłowości i liczenia się z nawykami ludzi żyjących.

Odwrotnie poczyną sobie dyrektor Adam Mauersberger z Muzeum Mickiewicza na Rynku Staromiejskim! Już po raz któryś z rzędu cała Warszawa wali do „Mauzia” jak na występ Juliette Greco. Szanowny dyrektor nie waha się najdostojniejszego tematu zaprezentować ludziom w sposób widowiskowo-fotoplastikonowy. Wystawa, zorganizowana w stulecie powstania styczniowego, była ekspozycją niewielkiej ilości autentycznych do-

kumentów i fotografii (głównie z albumów rodzinnych), pokazanych z prostotą i przedstawnym wdziękiem przez Stanisława Zamecznika.

Głównym źródłem nastroju osobliwości, atmosfery leśno-partyzanckiej, było ognisko płonące na muzealnym podwórczku. Ogromne zdjęcie powstańców, pieśni patriotyczne płynące z głośników, nawet płatki śniegu dekoracyjnie padające — wszystko wyreżyserowano po mistrzowsku, zatrzymując się taktownie na krok przed przekroczeniem granicy szmiry.

W tłumie wzruszonych pań w nylonowych perukach i bez peruk oraz panów doktorów z bratnich muzeów krążył dumnie „Mauzio”, poruszający znacząco krzaczastymi brwiami. Miał świetny dzień — przed chwilą wygłosił jedno z najwspanialszych przemówień powojennej Polski: trwało 15 sekund (nie licząc minuty ciszy).

Na skąpej powierzchni kilku isb „Mauzioteum” odbyło się małe okolicznościowe przyjęcie. W drzwianych misach podano kartofle, w mundurkach (nawiazanie do ogniska, a nie do błędów w dystrybucji) z solą oraz kabanosy w pianaącym spirytusie. Symboliczny kieliszek wódki dopełnił aluzji.

Przystań, Kowalski, stroić głupie miny i powiedz uczciwie: w muzeum staromiejskim umożliwiono sobie i tysiącom innych warszawiaków krótką chwilę refleksji i zadumy nad jednym z rozdziałów historii kraju...

Zadnych dysproporcji w treści i formie nie było na premierze najnowszego programu studenckiego kabaretu „Stodoła”. Na premierowe przedstawienie przybył kwiat młodzieży z dyrektorem Brombergiem i redaktorem Szydłowskim na czele. W programie „Mimośród, nie pantomima” zasztyrowano tak świetnie szereg interesujących myśli, że część z nich pozostała na zawsze własnością autorów widowiska.

Pomimo wszystko „Stodoła” dała smowu do myślenia zawodowym satyrykom, pokazała nie tylko trochę gołego ciała, ale i nierutynarskiego aktorstwa, zaakcentowała ras jeszcze ważną rolę wypinania się teatrów studenckich na tanioczek profesjonalistów.

Tyle, że to już tak przez siedem lat. Młodzieży, zacznijcie się wypinać inaczej! Tymczasem więc: „Hej, zanucmy głosy trzema: Nie ma. Nie ma. Nie ma. Nie ma.”. (Gałczyński).
Oras KOWALSKI